

To ten Teatr

"Mulholland Drive" - reż. Katarzyna Trzaska, Edyta Wróblewska, Maciej Marczewski - Teatr W. Horzycy w Toruniu

Artystyczne badanie tworzywa scenicznego i filmowego. Aktorzy i obrazy. Labirynt korytarzy i pomieszczeń. I scena Teatru Horzycy, na której słowo „Silencio” brzmi niemal jak wypowiedziany wyraz „Różyczka” w filmie „Obywatel Kane” Orsona Wellsa, pozostając nieodgadnioną na zawsze tajemnicą. A do tego widzowie wchłonięci przez bezgraniczny Ocean Iluzji.

Spektakl „Mulholland Drive” zrealizowany na podstawie scenariusza Davida Lyncha jest naturalną konsekwencją ciekawej artystycznie linii programowej Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu, pod dyktando Andrzeja Churskiego i Pawła Paszty.

Trzy główne wątki – „Betty” („Tu nikt nie jest tym, kim się wydaje być na pierwszy rzut oka”), „Diane” („Betty: Teraz wyglądasz jak ktoś zupełnie inny”) i „Adam” („Zaczyna się od tego, że jestem tutaj, ale to nie jest ani dzień ani noc”), realizuje tyle samo reżyserów – Katarzyna Trzaska, Edyta Wróblewska i Maciej Marczewski, którzy opracowali własne scenariusze. Udział w tym niecodziennym przedsięwzięciu performatywno-teatralno-filmowym wziął także Marcin Sauter, laureat Złotej Żaby na ubiegłorocznym Festiwalu Filmowym Camerimage, przygotowując sekwencje filmowe oraz reżyserując światła. Autorką scenografii oraz kostiumów jest Aneta Tulis-Skórzyńska.

A zatem, jak zapowiada plakat autorstwa Niki Tarnowskiej, spektakl ten to - 3 reżyserów, 3 ścieżki, 3 wizje. Ale i on sam w niemal hipnotyczny sposób sygnalizuje niezwykłość tego teatralnego projektu. Litery kojarzące się z nocnymi światłami neonów, schładzają emocje swym zimno-niebieskim blaskiem, rozświetlając na chwilę niewielki obszar muru, którego reszta tonie w nieprzeniknionych ciemnościach.

I tak powstał autorski spektakl, w którym reżyserzy zaproponowali widzom nowy i oryginalny w formie, jak i w treści, artystyczny przekaz, powstały na bazie filmu Davida Lyncha. Rozpoczyna go odsłona z Klubu „Silencio”, umiejscowiona w samym sercu teatru, czyli na scenie. Pojawiająca się zza czerwonej kurtyny Anna Romanowicz-Kozanecka w roli Konferansjera swym głębokim tembrem głosu tworzy klimat i zaprasza widzów do niezwyklej „podróży”, w którą udają się za przewodniczkami w trzech różnych kierunkach, znikając w sieci teatralnych korytarzy. Bo taka jest koncepcja tego spektaklu. Tym razem toczy się on w niemal wszystkich zakamarkach pomieszczeniach, tego tajemniczego Teatralnego Rekwizytorium, którego, poza sceną i foyer, widz na ogół nie zna.

Architektura tego ponad stuletniego gmachu to sieć korytarzy, pokoi małych i nieco większych, niskich stropów, stromych schodów, wąskich korytarzy. I bodajże po wielu latach team młodych reżyserów tchnął w nie życie. Ale nie tylko o to chodzi. Te wszystkie przejścia, zejścia, zakręty, załamania przypominają labirynt. Labirynt naszych przeżyć, emocji, doświadczeń, pragnień, życiowych negatywów i pozytywów. Losowo podzieleni na grupki widzowie przedzierają się przez obce im, a chwilami także i swoje, meandry duszy i trafiają do przypadkowo wybranych pomieszczeń. Jedna z grup wchodzi do piwnicy, symbolizującej obszary ludzkiej podświadomości oraz intymności. Piwnica to miejsce ciemnych stron człowieczych osobowości, miejsce podstępnych knowań, działań i namiętności. Miejsce, w którym rodzi się zazdrość i pragnienie zemsty. Za sprawą filmowego rzutu

okna, za którym rozpętała się ulewa i słysząc odgłosy burzy, staje się wynajętym mieszkaniem. To zapowiedź filmowego udziału w spektaklu warsztatu Sautera i jego mistrzowskiego operowania kamerą oraz światłem. Tak rozpoczyna się część „Diane” w reżyserii Edyty Wróblewskiej, czyli „teraz wyglądasz jak ktoś zupełnie inny”. Ale projekcja urywa się i okno znika. Było tylko iluzją, fantomem zapisanym na taśmie filmowej. Pozostaje ściana, na tle której pojawia się postać Camilli. Widzowie obserwują wzajemne relacje pomiędzy Betty/Diane a Ritą/Camillą. Pojawia się Adam z ekipą filmową rozpoczynają się próbne zdjęcia. Rzeczywistość miesza się z akcją na planie filmowym. Jest i matka Adama, kelnerka Betty, nowa przyjaciółka Diane. Akcję sceniczną budują urwane, krótkie epizody. Jest chaos, niezrozumiałość, wszystko dzieje się jak we śnie. Gdzie kończy się tworzywo filmowe, a zaczyna teatralne? Czy aktorzy udają grę? Czy też grają naprawdę? Nic nie jest jasne... Światło podaje rytm obrazom, a kiedy gaśnie, zamykając tę część, widzowie wychodząc, zabierają ze sobą obrazy, dźwięki, wrażenia, iluzję i prawdę tego miejsca, tych zdarzeń.

Grupa idzie dalej. Znowu wąski korytarz, schody, stoliki, lampy... Mija osobliwe pomieszczenia, pojawiające się wcześniej w filmowych projekcjach, które są snem dziewczyny, a może i nie... Jedno z nich wypełnione jest rekwizytami, przedmiotami pokrytymi kurzem, które z czasem straciły swą pierwotną barwę. Poukładane na półkach, świetnie zaaranżowane przez Anetę Tulis-Skórzyńską na tak bardzo stare, że już naprawdę nikomu niepotrzebne, a które jednak zalegające na półkach. Tak samo jak i w naszych głowach „leżące” od lat przeżyte doświadczenia, emocje, wspomnienia, których nie mamy siły wyrzucić. Jest i zegar na ścianie. Godzina 20:50. Wąski kręty labirynt prowadzi do teatralnego holu, a w nim aktor ćwiczy kwestię, którą przed chwilą próbowała Betty. Wciąga do partnerowania osoby z publiczności. Próba trwa. Zegar wskazuje 19:50. Ułuda czasu, iluzja wydarzeń? Teraz widzowie wchodzą na piętro. Staje się jaśniej, przejrzysiej. To piękna estetycznie elegancka restauracja. Widzowie i aktorzy zajmują miejsca przy stolikach. To najbardziej „teatralna” odłona spektaklu. Ta część to „Adam” w reżyserii Macieja Marczewskiego. W strumieniach ostrego światła rozpoczyna się walka o duszę i wartości wyznawane przez Adama. Pojawią się mafiosi w czarnych ubraniach i kapeluszach, z bardzo nienagannymi manierami, poza smakowaniem kawy oczywiście. Jest i milczący, uprzejmy nad wyraz barman. Ale czy to na pewno barman? Okazuje się, że był nim na pierwszy rzut oka. W istocie to jeden z ważnych trybów w przestępczym mechanizmie, budzący lęk swym stalowym spojrzeniem.

Maciej Marczewski interesująco konstruuje w jednym obszarze kilka zróżnicowanych epizodów. Niewielkie miejsca, w których się toczą, wypełniają zupełnie odmienne emocje. Ta rozświetlona rześista przestrzeń to znak, że najciemniejsze, najhambiebniejsze interesy czy układy rozgrywają się właśnie w takich miejscach, w przeciwieństwie do wcześniejszych, zachodzących w podziemiach ludzkich emocji, ukrywających przed światem najintymniejsze doznania, które nosi się w sobie.

Ale Gmach Iluzji ma jeszcze strych i dlatego widzowie wspinają się niczym po schodach teatralnej kariery jeszcze wyżej, na sam szczyt, gdzie czeka sława, popularność. Ale nie jest łatwo, bo schody stają się coraz bardziej strome, a korytarze węższe i tajemnicze. Po drodze mijają kasyno gry, w którym trwa partyjka, bodajże, w pokera. Dwaj starsi panowie są uprzedzająco mili, ale nikt jeszcze nie podejrzewa, że za chwilę zobaczy ich w zupełnie innych rolach, w innym miejscu. Ten podejrzany bądź co bądź salon gry to tylko przedsmak, zapowiedź tego, jak producenci i reżyserzy oraz rekiny show-biznesu „grają” aktorami. Atmosfera staje się coraz gęstsza. W powietrzu pojawiają się marzenia o sławie, o filmie, o scenie, konfrontują się z tym, jakie plany wobec nich mają inni. Czy jesteśmy jak te karty wykładane na stół w grze o wielką stawkę? Ktoś z widzów przysiadł się do stołu,

ale nie na długo, bo znowu grupa rusza przed siebie. Mija manekiny odziane w kostiumy ze sztuk, lustra, przyciemnione lampy, by w końcu korytarza dostrzec Cynthię prowadzącą rozmowę, posługując się kilkoma aparatami telefonicznymi. Nie czuje się zaskoczona, może nawet nie dostrzega tłumy wokół siebie. Może jest on tylko ułudą...

Grupa ponownie zagłębia się w labirynt... Łatwo stracić orientację, ale chyba nie błądzi. Wchodzi do pomieszczenia, które okazuje się garderobą, pokojem... Pojawia się Betty z walizką, potem „Rita”. Sceneria niemal filmowa. To część „Betty” w reżyserii Katarzyny Trzaski, czyli „tu nikt nie jest tym, kim się wydaje być na pierwszy rzut oka”. Ale w tym pomieszczeniu są jeszcze dwie stare aktorki, z głęboko noszonym w sobie dramatycznym poczuciem starzenia się i niemożnością odnalezienia się w świecie, jaki wyznacza czas biologiczny. Tutaj Betty konfrontuje się ze swoimi marzeniami, tutaj one ulatują jeszcze wyżej. I pojawia się czarnowłosa Rita, która staje się Betty. Ale na pierwszy rzut oka wygląda jak „prawdziwa” Rita/Camilla. Ale kim jest naprawdę? Projekcją myśli prawdziwej Betty? Rita staje się Betty. Pada strzał...Atmosfera gęstnieje od niedomówień, podejrzeń, życie miesza się ze śmiercią, kariera z upadkiem, początek z końcem. Urojenia, przywidzenia, imaginacja, pytania, kto jest kim...I która z kobiet naprawdę została zastrzelona.

Widzowie opuszczają to miejsce i znów idą przed siebie. Korytarze, zakręty, schody. Po chwili wychodzą na foyer, na parterze. Dokładnie w tym samym miejscu, z którego rozpoczęli swą wędrówkę. Odnajdują się dwie pozostałe grupy. Wszyscy zajmują miejsca na widowni. To powrót do Klubu Silencio. Pojawia się Konferansjer, zapowiada piosenkę. Głos śpiewaczki poraża swą dynamiką, emocjami, czystą barwą, rozpływa się po całej widowni, dosięga sufitu i powraca. Nagle artystka mdleje, ale jej głos nie milknie... Playback? A więc to nieprawda, że śpiewała na żywo. Imaginacja trwa. Co było naprawdę, a co było snem podczas wędrówki przez teatr? Co jest wytworem naszej fantazji? Czy była granica pomiędzy obrazem filmowym a tym, co działo się na mini-scenach? Co było wiarygodne, a co zmyślane?

Jednak potęga tego Imaginarium trwa nadal. Dlaczego scena jest nadal pusta? Czy naprawdę nic się na niej nie wydarzyło? Jakby szukając odpowiedzi, światło reflektorów kieruje się ku górze i odnajduje aktorów. W roli widzów. A więc byli wśród publiczności i razem z nią oglądali przedstawienie? Kolejna odsłona Ułudy, Zwodzenia, Niedomówień. A więc tak wygląda magia kina i teatru? Natomiast reżyserzy i realizatorzy tego brawurowego artystycznie wydarzenia zajęli miejsca na widowni i wśród widzów przyjmowali życzenia, oklaski, kwiaty.

I co jeszcze? Przedstawienie nie zostało udokumentowane w formie zdjęć. Było złudzeniem, iluzją, a filmowo-teatralne obrazy zapisały się w pamięci widzów. Ten niematerialny wymiar spektaklu był tylko projekcją wyobraźni.

Wielkie brawa dla reżyserów i realizatorów za tak ciekawą propozycję. Za dostarczenie tylu zróżnicowanych emocji, za stworzenie świata, w którym iluzja miesza się z rzeczywistością, w którym nic nie jest takie, jak się nam zdaje, a ludzie nie są tacy, jak sobie to wyobrażamy. I tu trzeba powiedzieć, że wielki udział w stworzeniu „lynchowskiego” bądź co bądź klimatu, ma Aneta Tulis-Skórzyńska. Jej kostiumy, charakter scenografii w poszczególnych częściach oraz zaaranżowanie niemal całej przestrzeni teatralnego gmachu zwiększyło magiczny wymiar tego przedsięwzięcia. Film Davida Lyncha dla twórców jego toruńskiej interpretacji był iskrą do stworzenia własnego świata, do skonfrontowania języka teatru z filmowym. I za te poszukiwania, za eksperymentalne obrazy, za atmosferę, należą się słowa uznania.

Muzyka w oryginale, skomponowana dla filmu przez Angelo Badalamenti podsyciała tylko atmosferę tworzoną środkami teatralnymi. I wielkie brawa dla wszystkich aktorów, wcielających się w różne postaci. Odkryli przed widzami zupełnie inny wymiar teatru. Warto dodać, że aktorzy grali bardzo subtelnie na linii autoironii, groteski, parodii. I jeśli dla niektórych widzów nieodzowne są jednak odniesienia aktorów toruńskich do filmowych, to przyznać trzeba, że najbardziej w klimacie Lyncha odnalazł się Paweł Tchórzelski. I jako barman, i jako Kowboj. Maestria jego gry zachwycała i była dowodem na to, że „nikt nie jest tym, kim się wydaje być...”

Reżyserzy skonstruowali spektakl z niezwykłą precyzją. Rozlokowanie w gmachu trzech grup liczących po kilkadziesiąt osób, zaplanowanie trasy ich przejścia, tak, aby powstało złudzenie, że dana grupa samotnie przemierza gmach. Zsynchronizowanie poszczególnych części przedstawienia, wyliczenia czasowe, działały nienagannie. Pozostaje mieć nadzieję, że przedstawienie to otwiera drogę do dalszych eksperymentów na toruńskiej scenie.

To przedsięwzięcie wymagało od strony technicznej również niebywale perfekcyjnej logistyki. A, co było nietrudno zauważyć, zaangażowani w nie byli wszyscy pracownicy teatru. To dzięki nim całość przebiegała tak, jak powinna. Za ich sprawą widzowie bezpiecznie docierali do wyznaczonych miejsc. Niektórzy z pracowników niczym anonimowi statyści pojawiali się w korytarzach i to w różnych miejscach, dopełniając klimatu.

[Ilona Słojewska](#)

Dziennik Teatralny Toruń

10 stycznia 2018